

BRONISŁAW IWUĆ

Był to dzień 24 września 1939 r. Niemało [?] grupek [?] żołnierzy polskich maszerowało do domów [nieczytelne] ojczyzny. Na twarzach ich można było widzieć smutek i przygnębienie.

Około 10.00 rano znaleźliśmy się na dworcu kolejowym w Zdołbunowie. Wszędzie było widać groźne twarze żołnierzy sowieckich z najeżonymi bagnetami, twarze ich śniade i oczy skośne dodawały im jeszcze groźniejszego wyglądu.

Zaczęli oni nas obszukiwać po zatrzymaniu, czy nie mamy jakiejś broni i odprowadzali na plac koło dworca. Tam już nas powiadomiono, że mamy dostać przepustki, by bezpiecznie dostać się do domów. Ale, że w Zdołbunowie było mało miejsca, więc dawaj nas ustawiać po czterech w szeregi i dalej na stację, gdzie już czekał na nas pociąg sowiecki, by zawieźć nas do Szepietówki, położonej 35 km za granicą polsko-sowiecką.

W wagonach było ciasno i duszno, nawet ruszyć się było trudno, a o siedzeniu nie było mowy. Nareszcie w nocy przybyliśmy do Szepietówki i do rana byliśmy w wagonach, aż dopiero około dziewiątej wyprowadzono nas na plac i dano po trochu jakiejś zupy hreczanej. Później zaprowadzono nas do budynków koszarowych i tam nas umieszczono. Budynki były bez łóżek, więc spaliśmy na cementowej podłodze, jeść dawano raz dziennie, takiej samej zupy hreczanej i może pół kilograma chleba. I tak siedzieliśmy może z tydzień, aż pewnej nocy wyprowadzono nas z baraków i na stację, i dalej do wagonów. Jechaliśmy tak kilka dni i przybyliśmy do Kijowa. W Kijowie zaprowadzono nas do stołówki, dano po troszeczkę gorącego kapuśniaczku i czekaliśmy prawie do wieczora. Wieczorem ruszyliśmy. Jechaliśmy może dobę, kiedy zatrzymano nasz pociąg w polu i naczelnik konwoju, który nas eskortował, ogłosił, że wyszedł naprawdę rozkaz marsz. Woroszyłowa, żeby nas puszczono do domów. Następnego dnia przybyliśmy na stację Nowograd [Nowogród] Wołyński i tam myśmy się wyładowali. Poprowadzono nas, tak jak w Szepietówce, do budynków koszarowych, do każdego po 800 ludzi, tak że spaliśmy prawie jeden na drugim.

Tutaj gotowano nam w kuchniach polowych jakąś grochówkę i tak samo dawano raz dziennie, a kiedy zaczęły się napychać, to przewrócą kuchnię i dalej wsadzać menażki do kotła i który coś zaczerpnie, to dalej w nogi do baraku lub za barak, a naczelnik za nim goni, a jak nikogo nie złapie, to chodzi po baraku i przygląda się: kto jest usmarowany od kotła, to go za kołnierz i dalej do ciupy.

Powstało ogromne zawstydzenie, wszy łążyły jak barany po ludziach, każdy rozbierał się bez wstydu do naga i tłukł je bez miłosierdzia. Nareszcie zaprowadzono nas do łożni, odzienie oddaliśmy do dezynfekcji. Tak przeszedł prawie miesiąc, a o zwolnieniu nic nie słychać.

Nareszcie zaczęto wybierać na ochotnika do roboty na drogę, więc chłopcy chętnie się zgłaszali, bo który pojedzie, to sobie upoluje ziemniaków, a wieczorem ugotuje. Popalili półki i szafki, jakie były stare, rozbierali nawet baraki niezamieszkane.

W listopadzie odwieziono nas do Dzidowicz, ok. 25 km od Nowogrodu [Nowogrodu] Wołyńskiego i chodziliśmy stamtąd jakie sześć kilometrów na robotę, już przymusowo każdy, chyba kto mocno chory. O zwolnieniu mówiono nam dalej, nawet ogłoszono, że 16 grudnia, a kiedy przyszedł ten 16, to zaczęto podwajać druty naokoło naszego zamieszkania i już zaczęli mówić, że nas nie puszczą, bo wybuchła wojna z Finlandią. Zaczęto nas mocniej pilnować, pobudowano „bocianie gniazda”, na robotę prowadzono grupami po 40 do 50 ludzi. Szła straż, ok. 15 żołnierzy uzbrojonych w granaty, parę ręcznych karabinów maszynowych i prowadzono na smyczy kilka psów wilczurów. Przed odejściem na robotę ogłaszano, że o ile kto będzie uciekał, to konwój ma prawo od razu go zabić.

I tak płynęły miesiące, aż jakoś pod koniec lutego 1940 r. przewieziono nas do Omelian, siedem kilometrów za Równem, tak samo na robotę na drodze, więc robiliśmy mosty betonowe i asfalt na szosie w kierunku Dubna. Tutaj też z początku był zły nastrój Ukraińców, którzy nam wymawiali, że to same „polskie pany”.

Wyżywienie w Omelianach było cokolwiek lepsze, ale musiano robić te normy, by go zdobyć i te kilka rubli, które płacili po odtrąceniu pięciu rubli za dzienne utrzymanie, ale tu, kto był spod okupacji sowieckiej, dostawał z domu jakąś pomoc – to paczkę, to trochę forsy, nawet przyjeżdżali z domów na tak zwane widzenie. A zwolnienia jak nie ma, tak nie ma.

Przebyliśmy w Omelianach do końca stycznia 1941 r., później załadowano nas w Równem do pociągu i po pięciu dniach jazdy znaleźliśmy się w Proskurowie [Płoskirowie], w świeżo wybudowanym baraku z surowych desek, z których bezustannie kapało na głowę.

W Proskurowie [Płoskirowie] też mieliśmy pracować na szosie i robiliśmy przygotowania do tego, woziliśmy kamienie, później mieliśmy je tłuc na drobno pod asfalt. Ale jakoś w marcu 1941 r. zatrzymano roboty na drodze i zaczęto na gwałt robić lotnisko w Jarmolińcach,

30 km od Proskurowa [Płoskirowa] w stronę Kamieńca Podolskiego. Jeńców tam było ok. dwóch tysięcy i kilka tysięcy ich cywilnej ludności, tzw. przymusowców, na roboty państwowe po kilka miesięcy.

A kiedy w czerwcu wybuchła wojna sowiecko-niemiecka, nas ok. 200 osób było w Proskurowie [Płoskirowie]. Na robotę już nie poszliśmy. Samoloty niemieckie atakowały lotnisko proskurowskie dniem i nocą. Jednej nocy o mało co nie trafili w nasz barak mieszkalny.

Wszelka nadzieja o zwolnieniu i powrocie do domu zamarła w duchu na razie, ale każdy prawie myślał, może stanie się jakiś zbieg okoliczności i wtedy się wyrwie z tej udręki i nędzy.

Nareszcie 2 lipca wyruszyliśmy w drogę pod silną eskortą konwoju i szliśmy dniem i nocą, prawie nie odpoczywając i głodni, bo dostawaliśmy trochę zupy raz dziennie bez chleba, a iść musieliśmy 60 do 70 km na dobę. Słońce piekło mocno, wszystko wycieńczone i chwiejne, a tu wszystko krzyczą: *Dawaj bystriej!*, to znaczy idźcie prędko, a kto ustaje, to go nogą w tył kopano z różnymi przekleństwami i wspomnieniami o 1920 r. A kto ustał całkiem, tak że nie mógł iść, to poszedł na tamten świat przez konwoje, a muszę zaznaczyć, że nas eskortowało NKWD. Dużo umierało z wycieńczenia i pragnienia, bo wody nam nie dawano się napić podczas marszu. Szliśmy przez Winnicę na Białą Cerkiew, wszędzie było widać zgrozę wojny. Ludność cywilna uciekała dalej i dalej w głąb. Gnano stada bydła, a zboża jeszcze niedojrzałe cięto i tratowano traktorami. Wszędzie unosiły się łuny pożarów.

Samoloty niemieckie krążyły nad naszymi głowami, ale na szczęście nic nam nie robili, piloci wychylali się z samolotów i wymachiwali do nas rękami. Miasta i miasteczka, przez które przechodziliśmy, były zbombardowane.

Nareszcie po 17 dniach podróży przybyliśmy do Złotonoszy i tam po krótkim odpoczynku zaczęto nas zaprowadzać do wagonów, ale z chwilą, gdy się załadowaliśmy, zaraz ukazał się samolot niemiecki i zaczął ostrzeliwać z ckm, a później zrzucił kilka bomb i kilka [osób] zostało zabitych i rannych.

Przesiedzieliśmy całą noc w wagonach, a nad ranem ruszono i po pięciu dniach przybyliśmy do Starobielska, gdzie zamieszkaliśmy w budynkach niegdyś należących do klasztoru, a po wypędzeniu Boga z Rosji zostały zamienione na obóz koncentracyjny. Zebrano nas tam kilkadziesiąt tysięcy, ale jaki smutny obraz przedstawiali tam ludzie, czy kościotrupy

trudno było rozróżnić, obdarci, zarośnięci jak widma leśne, wycieńczeni, chodzili chwiejnie, trzymając się ścian i murów, a apetyt ogromny był u każdego, zdawałoby się, że wołu by zjadł, ale go nie było.

Ale jakoś nas ostrzyżono, ogoliliśmy się czym kto mógł i jaka taka łaźnia była, trochę się poobmywaliśmy i wyglądaliśmy jakoś przyzwoiciej. Przychodzili do nas politruki na biesiedy, czyli pogadanki. Jakoś w początku sierpnia przynoszą nam gazetę i czytają, że rząd polski w Londynie podpisał umowę z ich rządem i, że na terenie Rosji będą się tworzyć „Polskie Legiony”. Nie chciano wierzyć z początku, bo myślano, że to podstęp jakiś, ale pewnego dnia przybył do obozu jakiś pan pułkownik w otoczeniu starszyny i NKWD i mówi nam te same wiadomości, i że on jest organizatorem wysłanym od gen. Andersa, który obejmuje dowództwo nad tworzącym się wojskiem.

Radość ogromna zapanowała wśród nas, jedni zaczęli płakać, drudzy ścisnąć się, całować z radości, zaczęto wznosić wiwaty na cześć Anglii i Ameryki oraz naszego Wodza, który nie zapomniał o swych ludziach. Później odśpiewaliśmy *Rotę* i hymn „Jeszcze Polska nie zginęła...”. I od tej chwili staliśmy się żołnierzami. Choć obdarci i nędzni, ale w sercu zrodził się zapał i hart woli, by jak najprędzej stanąć w szeregach i iść poprzez nieznane przestrzenie i krwawymi śladami znaczyć drogi aż ku wolnej i szczęśliwej Ojczyźnie.